

BARBARA S. MACIEJCZYK

AKADEMIA
CIEMNOGRODZKA

BARBARA S. MACIEJCZYK

AKADEMIA
CIEMNOGRODZKA

Akademia Ciemnogradzka — Barbara S. Maciejczyk

Copyright © by Barbara S. Maciejczyk, Warszawa 2025

Copyright © by Wydawnictwo vandom

Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autorki i wydawnictwa.

Redakcja i korekta po składzie: Vanessa Moździerz

Korekta: Agnieszka Kolenda

Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)

Okładka: Weronika Szulecka

Wydanie I

Druk i oprawa: BooksFactory

ISBN druk: 978-83-971733-9-2

ISBN e-book: 978-83-978007-0-0

Wydawnictwo vandom

www.wydawnictwo.vandom.pl

www.instagram.com/wydawnictwo_vandom

www.facebook.com/wydawnictwovandom

www.tiktok.com/@wydawnictwo_vandom

Mateuszowi, Laurze i Korneliuszowi.

*Trudno jest mieć żonę i matkę pisarkę,
ale dzielnie to znosicie!*

I tym, którzy wciąż szukają swojego miejsca.

Playlist

Blue Foundation — *Eyes on Fire*
VOILÀ — *Drop Dead Gorgeous*
System Of A Down — *Lonely Day*
Lindsey Stirling — *Crystallize*
Stray Kids — *Maniac*
Adam Jones — *You Can Run*
Azophiel — *Your Villain*
Evanescence ft. K. Flay — *Fight Like A Girl*
Agnes Obel — *The Curse*
Icon For Hire — *Make A Move*
Aurora — *Runaway*
Jeris Johnson — *Kiss From A Rose*
Sleep Token — *Take Me Back To Eden*
Dark Sarah feat. JP Leppäluoto — *Dance With The Dragon*
YOHIO — *My Nocturnal Serenade*
BLACKPINK — *Princesses Don't Cry*
Jasmine Sokko 楚晴 — *Burnout Dynasty*

Regulamin

Witaj w Akademii Ciemnogrodzkiej!

Zanim otworzysz nasze podwoje, przystań na moment,
by zapoznać się z celami statutowymi szkoły przeznaczonej
dla istot nadprzyrodzonych.

1. Dołóż wszelkich starań, by zdobyć u nas jak najlepsze wykształcenie.
2. Uczestnicz w co najmniej jednym kole zainteresowań.
3. Nawiąż przyjaźnie i zdobądź sojuszników.
4. Szanuj zasady panujące w naszej placówce.
5. Przeżyj.

Przekroczenie progu Akademii
jest równoznaczne z akceptacją regulaminu.

Rozdział I

Enklawa

Stałam naprzeciwko szkoły z mojego najgorszego koszmaru.

Wiele słyszałam o Akademii Ciemnogradzkiej – placówce, w której uczniowie rywalizowali ze sobą nie tylko pod względem ocen, ale również toczyli rzeczywiste, zacięte boje na śmierć i życie. Odkąd pamiętałam, nigdy nie chciałam do niej uczęszczać. Nie odpowiadało mi podejście nauczycieli do ich podopiecznych, nie chciałam zostać zamknięta w zimnych murach z cegły, nie planowałam zapisywać się do żadnego z licznych kół zainteresowań ani brać udziału w wyścigu szczurów.

A tymczasem stałam przed skrzącą się srebrzystą bramą, na której igrały ciepłe promienie wczesnojesiennego poranka. Zadarłam głowę, by odczytać napis:

— *Custodes animarum perditarum* — szepnęłam. — Strażnicy zagubionych dusz.

Prychnęłam pod nosem.

— Nie potrzebuję strażnika — poinformowałam bramę; łudziłam się, że może mnie zrozumieć. — Poszukuję wiedzy.

Ku mojemu zaskoczeniu brama otworzyła się z cichutkim brzęczeniem przypominającym melodię wygrywaną przez setki tańczących na wietrze dzwoneczków. Odruchowo cofnęłam się i przygotowałam na atak, ale mijały kolejne długie sekundy i nic się nie działo.

Brama jeden punkt, Liwia zero, odezwał się Lumi.

— Bardzo zabawne — mruknęłam.

Ostatni raz obejrzałam się za siebie.

Hen daleko znajdował się mój dom ukryty pośród gęstego lasu. Już tęskniłam za szumem górskiego potoku, za szelestem żółknących liści, za wiatrem igrającym w moich włosach. Jeszcze przez chwilę łudziłam się, że mam wybór — mogę wrócić do mamy, która potrzebowała mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Kusiło mnie, aby zignorować bramę do magicznej enklawy, w której ukryto szkołę dla istot takich jak ja, a jednocześnie tak ode mnie różnych.

Przez moment bawiłam się myślą o powrocie do domu, lecz ostatecznie westchnęłam ciężko, chwyciłam rączkę walizki i powoli wkroczyłam na teren Akademii Ciemnogrodzkiej.

Brama zawarła się za mną ze złowróżbnym jękiem. Po plecach przeszedł mi dreszcz, odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Sądząc po tym, co już wiedziałam o szkole, powinnam jak najszybciej przyzwyczać się do tego nieprzyjemnego uczucia. Spodziewałam się, że często będzie mi towarzyszyć.

Przystanąłam w pół kroku, bo naraz ogarnęło mnie obezwładniające poczucie alienacji, jakbym przez moment była jedyną osobą na świecie. Aż zabrakło mi tchu. Poczułam się samotna jak nigdy wcześniej. Byłam niczym pojedyncze ziarno dmuchawca puszczzone na wietrze.

Zrozumiałam, że to moc enklawy odcięła mnie od świata zewnętrznego.

Mama ostrzegała, że tak się stanie, ale nie spodziewałam się, że skutki bariery odczuję aż tak mocno. Magia napierała na każdą kość w moim ciele, rozsadzała mi głowę, wdzierала się do pęcherzyków płucnych z siłą ryczącego wodospadu. Przez chwilę po prostu stałam na środku ścieżki z uniesioną nogą, zawieszona w bezruchu.

Wrażenie minęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło.

Wreszcie opuściłam nogę, wzięłam kilka wdechów i przełknęłam ślinę.

Odwróciłam się. Świat ponad zamkniętą bramą spowiła gęsta mgła, definitywnie oddzielając mnie od poprzedniego życia. Od tej pory nie mogłam kontaktować się z nikim — ani z matką, ani z sąsiadką, która informowałaby mnie o stanie jej zdrowia.

Byłam zdana wyłącznie na siebie. No i Lumiego.

Odetchnęłam głęboko, by się uspokoić.

Musiałam być silna. Byłam to winna rodzicom.

Pewnym krokiem ruszyłam szeroką ścieżką wiodącą pomiędzy szpalerami starych dębów o grubych pniach. Ich złote liście szeleściły głośno, jakby przekazywały innym informację o intruzie. Zignorowałam dreszcz wspinający się po moich plecach. Wbiłam wzrok przed siebie. Idąc między drzewami, wydałam się sobie małego niczym chrząszcz pomiędzy żdźbłami wysokiej trawy na górskiej łące. Mimo bólu spowodowanego opuszczeniem matki oraz zderzeniem z magią enklawy, krok za krokiem zbliżałam się do wyłaniającego się zza drzew gotyckiego budynku.

Mama wiedziała, dokąd zmierzałam. Nie była zadowolona, ale rozumiała, że odnalezienie mordercy ojca było ostatnim, co mogłam dla niego zrobić. Byłam mu to winna. To ja prosiłam go o przywiezienie białego kruka, o którym od dawna marzyłam — i to właśnie podczas powrotu z tej wyprawy dopadł go nieznany zabójca.

Racjonalna część mnie wiedziała, że ojciec nie umarł z mojej winy, ale to niczego nie zmieniało. Taty już nie było. Już nigdy razem nie zatańczymy, nie będziemy wspólnie przecinać przestworzy, nie będę słuchać opowieści snutych jego głębokim, ciepłym głosem. Nie poczuje jego opiekuńczych ramion zamykających mnie w uścisku.

Zamrugłam szybko, próbując pozbyć się łez. Musiałam być twarda. Nie mogłam pozwolić sobie na okazywanie zbędnych emocji,

nikt nie mógł odkryć, że nie byłam tak silna, na jaką chciałam wyglądać.

To nie było łatwe.

Widok pozbawionego życia ojca prześladował mnie na jawie i we śnie. Nie wiedziałam, jak długo stałam nad nim i krzyczałam... nie, wyłam z bólu. Czułam, jakby to mi ktoś wbił sztylet prosto w serce.

Potem przeniosłam wzrok na Strabora. Jego piękne, szmaragdowo-złote łuski zmatowiały, a w oczach smoka pozostała pustka. Słyszałam, jak Lumi zapłakał, i to sprawiło, że cierpiałam jeszcze bardziej.

Szarpięcie.

Nagle coś we mnie drgnęło, zupełnie jakby ktoś pociągnął za niewidzialny sznurek owinięty wokół mojej klatki piersiowej, a ja gwałtownie wróciłam do rzeczywistości. Wciąż znajdowałam się na ścieżce. Uniosłam twarz ku górze. Na niebie pojawiły się szarawe chmury zwiastujące nadejście deszczu. Drzewa zaszumiały, niższe gałęzie pochyliły się nade mną niczym złowrogie demony wyciągające swe długie, ostre szpony. Wiatr przypominał mrozący krew w żyłach chichot.

Ciarki na skórze.

Jednego byłam pewna: gdyby nie to, że jedyna wskazówka mogąca doprowadzić mnie do mordercy prowadziła do Akademii Ciemnogrodzkiej, moja noga nigdy by tu nie powstała. Niestety, fragment szkolnego emblematu był wszystkim, co pozostało po zabójcy ojca.

Uśmiechnęłam się zimno.

Na szczęście zabójca nie wiedział o przewadze, którą dysponowałam. Z darem telepatii odnalezienie winnego będzie łatwiejsze, niż on sam mógłby się tego spodziewać. Zanim się obejrzę, będę mogła wrócić do domu, do mamy.

Wreszcie stanęłam przed wejściem do szkoły.

Akademia była wysokim budynkiem w stylu wiktoriańskim. Jej mury porastały ciemnozielony bluszcz i pyszniące się czerwienią dzikie wino. Ciemniejsze dachówki na licznych wieżyczkach odznaczały się na tle błękitno-szarego nieba. Smukłe, ozdobione szprosami okna musiały wpuszczać do środka wiele naturalnego światła.

Z niechęcią przyznałam, że budynek prezentował się wspaniale. Nie ociepiło to jednak mojego nastawienia do szkoły ani nikogo, kto się w niej znajdował – kadry nauczycielskiej czy uczniów.

Wciągnęłam do płuc zapach otoczenia. Wyczuwałam delikatną nutę ziół – gdzieś w pobliżu znajdowały się ogródek albo szklarnia. Poza tym otaczał mnie aromat jedzenia z dominującą nutą korzennych przypraw i pieczonych kasztanów, bagnisty zapach z niedalekiego jeziora porośniętego pałkami wodnymi, a także woń stworzenia kojarzącego się z ziemią, ciepłem i... bezpieczeństwem. Niezły żart.

Znów poczułam dreszcz sunący wzdłuż kręgosłupa. Uniosłam głowę. Spodziewałam się zobaczyć twarz w jednym z licznych okien. Czy ktoś obserwował mnie z góry?

Czy to oblicza z portyku wzbudzały mój niepokój?

– Domyślam się, że jesteś nową uczennicą.

Oderwałam wzrok od portyku ozdobionego płaskorzeźbami żyjących w harmonii istot i przeniosłam go na drobną, ciemnooką, czarnowłosą kobietę, która stała nieopodal. Mimo cieplej jesieni nie założyłabym tego, co ona miała na sobie – zwiewnej białej sukni udekorowanej żywymi kwiatami. Głowa nieznanym była zwieńczona czymś, czego nie mogłam nazwać inaczej niż koroną stworzoną z gałęzi, liści kasztanowca i owoców jarzębiny. Był to dość nietuzinkowy wybór, odpowiedniejszy raczej na tańce przy ognisku niż do szkoły.

– Tak, to ja. A pani jest...?

— Nazywaj mnie Jasna. — Głos kobiety był ciepły niczym gorąca czekolada. — Piastuję stanowisko zastępczyni dyrektorki. Wejdz, moja droga. — Zaprosiła mnie gestem.

Wyczułam delikatne muśnięcie magii przyciągające mnie do budynku, proszące, bym przekroczyła jego próg. Wiedziałam, że w tej szkole nie ma żadnego pełnej krwi człowieka, ale nie spodziewałam się, że tak szybko ktokolwiek użyje wobec mnie zaklęcia.

Jeśli chciałam spełnić swoją misję, nie miałam wyboru, więc kiwnęłam głową i po tym, jak ostatni raz spojrzałam za siebie — w kierunku domu, w stronę mamy, której prawdopodobnie nigdy już nie zobaczę — weszłam do Akademii Ciemnogradzkiej.



Rozdział 2

Dziwoląg

- Czy ona ma tatuaż? Czy to jest...?
- ...smok? Poważne? Co ona, z Chin przyleciała?
- Widziałas jej włosy? Chce zwrócić na siebie uwagę!
- Ej, niezła laska, co nie?
- Jak myślisz, czym jest?
- Ależ oczywiście, że będziemy musiały się jej pozbyć, co to za pytanie...

Właśnie takie komentarze towarzyszyły mojemu pierwszemu przejściu przez korytarz łączący dziewczęce dormitoria z salą, w której dzisiejszego poranka odbywały się początkowe lekcje. Szłam pewnym krokiem, wyprostowana i z wysoko podniesioną głową, choć wewnątrz trzęsłam się z niepewności i ciągle zadawałam sobie to samo pytanie:

Co ja tu robię?

Nie powinno mnie tu być, to nie mój świat. Nigdy nie chciałam uczęszczać do Akademii Ciemnogrodzkiej. Dobrze mi było w moim górskim miasteczku, w którym wciąż żyły stare tradycje i gdzie byłam bezpieczna. Poza tym lubiłam edukację w domu i nie myślałam, że kiedyś przyjdzie mi ją w tej formie porzucić.

Z drugiej strony, nie przewidywałam także, że będę szukała mordercy mojego ojca. Któż by się tego spodziewał?

Dla większości dzieci figura ojca wiązała się z siłą, z czynieniem niemożliwego możliwym, ze śmiechem z rzeczy, których inni nie rozumieją. Ale mój tata naprawdę był wspaniały. Był jednym z najpotężniejszych przedstawicieli naszej rasy, której istnienie stanowiło pilnie strzeżoną tajemnicę. Prawdopodobnie żadna z otaczających mnie osób nie umiałaby nazwać rodzaju istot, do których należałam.

Bardzo zależało mi na tym, by zachować taki stan rzeczy.

Jednak od śmierci ojca już nic nie było takie jak kiedyś. Dlatego teraz musiałam odnaleźć i ukarać zbrodniarza odpowiedzialnego za brutalne zakończenie mojego dzieciństwa. To nie przywróci nikomu życia, ale pozwoli mojej matce odejść w spokoju i w poczuciu, że zabójstwo jej ukochanego zostało pomszczone.

Ścisnęło mnie w dołku.

Mama umierała. Codziennie nikła w oczach, ogień w jej ciele przygasał, zabierając mi ją kawałek po kawałku. Przeklinałam los za to, że nasz gatunek w ten sposób reagował na śmierć małżonka: wdowa lub wdowiec powoli odchodzili, by dołączyć do nieżyjącego partnera.

Co za niesprawiedliwość!

Zamrugłam szybko i zacisnęłam szczęki, jakby to miało mi pomóc. Nie mogłam poddać się rozpacz. Nie mogłam uronić ani jednej łzy w otoczeniu potworów, które tylko czekały na moje najmniejsze potknięcie. Tutaj to oznaczało pewną śmierć.

Chętnie zobaczyłbym, co jest poniżej tego tatuażu.

Uprzedzano mnie, że telepatia może przysporzyć mi pewnych problemów z asymilacją w szkole. Nie spodziewałam się jednak, że będę odbierać podobne komunikaty.

Zerknęłam w stronę, z której pochodził usłyszany w moim umyśle głos. Ten właśnie głos przebił się przez szum, wyraźniejszy i czystszy od pozostałych.

Wysoki, smukły chłopak o węzowych oczach i jaszczurzym języku, którym co chwilę obliżywał kącik ust, pożerał mnie wzrokiem. Kiedy zorientował się, że na niego patrzę, rozchylił wargi w parodii uśmiechu, a jego rozdwojony jęzor mlasnął o podniebienie.

Obrzydliwość!

Na szczęście sala, której numer widniał w moim planie zajęć, była już blisko.

Z neutralnym wyrazem twarzy przekroczyłam próg. Przystanęłam zaraz za drzwiami. Zgodnie z moimi przewidywaniami wysokie okna wpuszczały tu sporo naturalnego światła. Obrastające zewnętrzny mur dzikie wino gdzieniegdzie wdzierało się do środka przez otwarte okno, co nadawało pomieszczeniu nieco tajemniczego charakteru. Rozejrzałam się dookoła — dwuosobowe ławki; większość z nich była zajęta przez uczniów, których rozmowy tworzyły niskie murmurando. Na blatach znajdowały się zapalone świece — co było dość niecodzienne za dnia — o subtelnej woni różeńca górskiego. Obok nich leżały czyste kartki i pióra do pisania.

I po co taszczyłam w torbie swoje przybory?

Zauważyłam wolne miejsce pod otwartym oknem wpuszczającym do sali ciepłe, jesienne powietrze pachnące liśćmi dębu. Zdecydowanym krokiem podeszłam do upatrzonego stanowiska. Miałam nadzieję, że będę siedzieć sama.

— Hej!

Ktoś położył mi rękę na ramieniu i silnym ruchem pociągnął ku sobie. Popatrzyłam na napastnika. Chłopak o węzowych oczach.

Dlaczego mnie to nie zdziwiło?

— To moje miejsce, mała.

Mała? Dobrze sobie. Miałam ponad metr siedemdziesiąt i dopiero szesnaście lat, więc istniało prawdopodobieństwo, że jeszcze urosnę. Uniosłam brew w niemym pytaniu. Jaszczurzy pomiot demonów nie zrozumiał, więc musiałam wyartykułować:

— Jakiś problem?

Dopiero teraz zauważyłam, że w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nie chciałam spuszczać wzroku z nachalnego chłoptasia, ale nie mogłam się powstrzymać, by nie popatrzeć po uczniach znajdujących się w pomieszczeniu. Ich oczy niebezpiecznie błyszczały. Otaczały mnie pary ślepi jarzące się czerwonym, złotym, zielonym, niebieskim blaskiem.

Poczułam dreszcz sunący wzdłuż kręgosłupa, od dołu do góry. Gdybym była kotem, najeżyłabym sierść. Szum mojej własnej krwi na kilka uderzeń serca zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Zasada piąta statutu szkoły: przeżyj.

To nie była tylko metafora. Tego jednego byłam pewna.

— To moje miejsce — wysyczał chłopak, który wciąż trzymał rękę na moim ramieniu.

Trzepnęłam go po palcach. Zaśmiał się groźnie w odpowiedzi.

— Chcesz się zabawić? — spytałam, znów kierując na niego spojrzenie.

Tego się nie spodziewał. Poczułam, że udało mi się go zaintrygować.

— Chętnie, sssskarbie — odparł.

— Berek! — szepnęłam.

W ułamku sekundy zacisnęłam palce na jego ramieniu i przyciągnęłam chłopaka ku sobie. Zaskoczyłam go tym. Stracił równowagę, a gwałtowny ruch sprawił, że jego łokieć z impetem zahaczył o framugę otwartego okna. Wykorzystałam moment. Nacisnęłam mocno na klatkę piersiową rywala i wypchnęłam go na zewnątrz.

Nie pofatygowałam się, by sprawdzić, jak sobie poradził.

Ktoś w sali się zaśmiał. To był niski, mroczny śmiech pozbawiony wesołości. Wpełzał pod skórę, drażnił połączenia nerwowe.

— Już ją lubię — mruknął srebrnowłosy chłopak siedzący w kącie. Akademia Ciemnogradzka była przerażająca.

— Panno Dracca! — Rozległ się donośny głos. — Zanim wyrzuci pani kogoś przez okno z wyższych pięter szkoły, warto byłoby najpierw upewnić się, że to istota potrafiąca latać.

W wejściu do sali stanęła wysoka, elegancko ubrana kobieta o jasnych włosach spiętych w niski, luźny kok. Jej ciemne, pozbawione białek oczy przyglądały mi się badawczo, jakby nauczycielka próbowała odczytać moje najskrytsze myśli. Płytkie zmarszczki wokół jej ust mogły świadczyć o tym, że często się uśmiechała. Albo lubiła stroić groźne grymasy, zanim postanowiła dobić ofiarę.

Z jakiegoś powodu miałam przecucie, że drugie wyjaśnienie było bardziej prawdopodobne.

— Miał cechy jaszczura — wyjaśniłam. — Założyłam, że potrafi się wspinać. To tylko trzecie piętro, a mury obrastają dzikie wino i bluszcz, co dawało mu możliwość się uratować.

Nauczycielka powoli pokiwała głową, jakby zadowolili ją moja argumentacja.

— No dobrze, jeden jedyny raz przymknę na to oko, bo to twój pierwszy dzień w Akademii — powiedziała surowo. Dodała: — Pamiętaj, że podczas zajęć lekcyjnych nie można walczyć. W czasie przerwy uczniowie mają pełną dowolność w doborze ulubionych aktywności.

Kąciki jej ust uniosły się w drapieżnym uśmiechu.

Kiwnęłam głową i szybko opadłam na wybrane wcześniej miejsce. Bardzo się zdziwiłam, gdy krzesło obok mnie zajęła inna dziewczyna. Zerknęłam na nią.

Pachniała polnymi kwiatami, a wyglądała jak sen każdego nastoletniego chłopca. Miała blond włosy, które sięgały jej za biodra, a do tego wielkie, zielone oczy, pełne usta i dołeczki w policzkach — widziałam je, ponieważ nieznajoma uśmiechała się szeroko. Była ubrana w szkolny mundurek, ale jako że jej obfity biust nie mieścił się w koszuli, nie zapięła kilku guzików od góry, tym samym nie

pozostawiając oglądającym zbyt wiele do imaginacji. Granatowa marynarka w kratkę była rozpięta i wyglądała zaskakująco... zmysłowo.

Nie osiągnęłabym podobnego efektu nawet za milion lat.

Nie, żebym kiedykolwiek próbowała.

— Dalia — odezwała się blondynka. Miała piękny, głęboki głos, który doskonale pasował do jej powierzchowności. — Twoja nowa najlepsza przyjaciółka.

Zaskoczona jej bezpośrednim podejściem rzuciłam tylko:

— Liwia.

— Lekcja pierwsza — powiedziała głośno nauczycielka, przerywając uczniowskie rozmowy. — Zaczniemy od równań...



Rozdział 3

Zapach lawendy

— Lepiej na nią uważaj — powiedziała Dalia, gdy tylko opuściliśmy salę. — Kokówa nie lubi, jak się jej zachodzi za skórę. Ale trzeba jej przyznać, że jest sprawiedliwa. Pewnie dlatego nie dała ci uwagi za to, że wyrzuciłaś kogoś już po dzwonku.

Nawet nie usłyszałam, że podczas wymiany zdań z jaszczurzym pomiotem zadzwonił dzwonek. Czyżbym była aż tak zdenerwowana? Ta szkoła źle na mnie wpływała.

— Kokówa? — dopytałam. — Masz na myśli Żmijewską?

Dalia skinęła głową. Jej włosy w kolorze pszenicy rozsypały się na ramionach i plecach. Kilku chłopców obróciło głowy i wpatrywało się w moją nową znajomą, jak gdyby ten ruch ich zahipnotyzował. Dalia przesunęła po nich uwodzicielskim spojrzeniem. Potem bez krepacji wzięła mnie za rękę.

Popatrzyłam na nią niepewnie, ale nie przerwałam uścisku.

— Przewisko wzięło się od tego, że zawsze ma włosy uczesane w kok — wyjaśniła blondynka, kiedy ramię w ramię przemierzałyśmy gwarny korytarz. — Zresztą... „Żmija” była już zajęta.

— Przez kogo? — dopytałam.

Czy w Akademii Ciemnogrodzkiej naprawdę każda osoba z grona pedagogicznego musiała być przerażająca? Może to był sposób na dyscyplinowanie uczniów — strach.

— Nauczycielkę od staro-cerkiewno-słowiańskiego — Padło wyjaśnienie. — SCS to ponoć zmora wielu uczniów, ale ja go uwielbiam. A te jery¹... — mruknęła z rozmarzeniem dziewczyna.

Zastanawiałam się, czy sobie nie żartowała.

— Skąd przyjechałaś? — spytała nagle Dalia.

Zawahałam się. Wiedziałam, że miejscowość znajdująca się najbliżej mojego domu była miejscem turystycznym, więc możliwe, że nie zdradziłaby tak od razu, do jakiego gatunku istot nadprzyrodzonych należą — jeśli Dalia w ogóle znałaby mój rodzaj, w co wątpiałam — ale ostrożności nigdy dość.

— Z Tatr — powiedziałam więc ogólnie.

— Krajanka! — pisnęła Dalia i przytuliła mnie mocno.

Zamarłam. Nie spodziewałam się takiej reakcji.

Już trzymanie ręki obcej dziewczyny było niecodziennym doświadczeniem. Ale po pierwsze, nie chciałam zaczynać szkoły od robienia sobie z niej kolejnego wroga, a po drugie, podskórnie wyczuwałam, że Dalia jest kimś, kto potrzebuje kontaktu fizycznego w takiej samej mierze jak powietrza. Dla niej to było po prostu naturalne, toteż pewnie nie brała pod uwagę, że u kogoś innego może wywoływać dyskomfort.

— To dlatego od razu wiedziałam, że się polubimy!

Dziewczyna puściła mnie wreszcie. Odetchnęłam ze skrywaną ulgą.

— Kiedy przyjechałaś do szkoły? — Dalia kontynuowała indagowanie. — Nie widziałam cię na rozpoczęciu ani przez pierwsze tygodnie. W którym dormitorium mieszkasz? — Entuzjazm w jej

◇◇◇◇◇◇

¹ Jery to zredukowane samogłoski występujące w języku prasłowiańskim, których grafemy, Ъ (jer tylny) i Ї (jer przedni), są kluczowe dla zrozumienia fonologii i morfologii dawnych języków słowiańskich, w tym języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. Ich zniknięcie pozostawiło trwały ślad w strukturze współczesnych języków.

oczach na moment przygasł, gdy dodawała: — W moim niedawno zwolniło się miejsce.

Teraz też musiałam być ostrożna. Spodziewałam się, że uczniowie będą zaskoczeni przyjęciem mnie po rozpoczęciu roku szkolnego, ale nie przygotowałam żadnego sensownego wytłumaczenia. Nie przewidywałam, że będę z kimś na tyle blisko, żeby go potrzebować.

— Przyjechałam rano — wyjaśniłam. — Miałam mały... poślizg. Zostawiłam rzeczy w pokoju i od razu poszłam na pierwszą lekcję.

— Masz taką niebieską walizkę?

Pokiwałam głową.

Dalia znowu pisnęła, aż uszy mnie rozboleły.

— Mieszkamy w jednym dormitorium! To musi być przeznaczenie!

Nie zdążyłam odpowiedzieć, nim ktoś wszedł pomiędzy nas. Znowu poczułam cudzą rękę na ramieniu. Czy nikt w tej przeklętej Akademii nie respektował przestrzeni osobistej?

— Witajcie, piękne panny. — Rozległ się głos tuż obok mojego ucha. Obróciłam głowę w jego stronę i popatrzyłam prosto w błyszczące, szarawe oczy obcego chłopaka o srebrzystych włosach. To on jeszcze w sali skomentował moją reakcję na zaczepkę ze strony jaszczura. — To co mamy teraz w planach?

— Wiktorze, nieładnie tak wtrącać się do rozmowy — zgaśniła go Dalia, a jej oczy rozbłyły groźnie, choć pełne wargi wciąż układały się w uśmiech jak z reklamy pasty do zębów. — Poza tym puszczaj Liwie! Tylko ja mogę jej dotykać i nie wypaść za okno!

— Widziałem to — mruknął Wiktor, nic sobie nie robiąc z ostrzeżenia koleżanki. — Niezła akcja. Ale Drogomir ci tego nie odpuści. Na twoim miejscu miałbym oczy dookoła głowy, śliczna Liwio — szepnął, nawijając na palec kosmyk moich włosów. — Błękitne — rzekł, gładząc opuszkami moje końcówki. — Piękne.

Zamrugałam. Nie byłam pewna, czy chłopak mnie ostrzega, podrywa czy się zgrywa. Powoli ściągnęłam z siebie jego rękę, jakbym zdejmowała z ramienia pająka.

— Spokojnie — powiedziała miękko Dalia, dostrzegłszy moją rezerwę. — Wiktor gra do drugiej bramki.

— Gram do obu bramek. Moim wyznacznikiem jest energia, nie płeć — wtrącił chłopak. Nic z tego nie rozumiałam. — Wiktor Kuszyński, do usług.

— Tylko zbyt często nie wchodź na mój teren łowiecki, bo nasze spotkanie może nie skończyć się dla ciebie dobrze — upomniała go dziewczyna.

Co tu się działo? Jakimi stworzeniami oni byli? Chętnie bym zapytała, ale wtedy czułabym się zobowiązana, by wyjawić im swoją naturę, a to nie wchodziło w grę. Bezpieczniej było zmienić kierunek rozmowy.

— Drogomir to ten z oczami jak u jaszczura? — dopytałam.

— Dokładnie — potaknął Wiktor. — To właśnie nasz Droguś.

— On nie znosi, gdy się go tak nazywa — zauważyła blondynka i wskazała, do której sali powinniśmy wejść.

— Właśnie dlatego wszyscy robią to tylko wtedy, gdy nie ma go w pobliżu — wyjaśnił mój nowy znajomy. — A nawiasem mówiąc, masz fajny tatuaż. — Pokazał palcem na mój dekolt, gdzie między obojczykami znajdował się wizerunek smoka. — Prawdziwy? Też chciałbym mieć, ale moi starzy ciągle się nie zgadzają.

— Nie wszyscy lubią facetów z tatuażami — wyjaśniła Dalia takim tonem, jakby powtarzała to co najmniej setny raz. — Zawęziłbyś sobie grono potencjalnych zdobyczy. Poza tym władze szkoły nie wyrażają zgody na tatuaże u uczniów. Aż dziwne, że u Liwii to przeszło.

— Dostałam specjalne pozwolenie — powiedziałam. Staralam się jak najbardziej trzymać prawdy. Wtedy prawdopodobieństwo, że

ktoś nakryje mnie na kłamstwie, będzie niższe. — To nasza rodzinna tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie.

— Ale ci zazdroszczę — westchnął Kuszyński i przepuścił nas w drzwiach. — Tradycją mojej rodziny jest doroczny zjazd, podczas którego tańczymy przy wielkim ognisku nad jeziorem przy pełni księżyca, a po części oficjalnej dorośli urządzają sobie afterparty w strojach Adama i Ewy. Nudy.

Poczułam, jak moja blada twarz pokrywa się rumieńcem.

— U mnie jest podobnie — przyznała Dalia, przewracając oczami. Zajęła wolne miejsce i poklepała krzesło obok siebie, dając mi tym samym znak, bym usiadła. — Idziemy nocą z latarniami nad Morskie Oko, tańczymy, śpiewamy, a potem następuje zacieśnienie więzi, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Niepewnie pokiwałam głową.

Oderwałam wzrok od koleżanki i rozejrzałam się po sali lekcyjnej. Podobnie jak w poprzedniej, były tu wysokie okna z fantazyjnymi szprosami, rzędy ławek z ciemnego drewna oraz tablica z kredą. Jednak tutaj w czterech rogach pomieszczenia stały donice, z których wyrastały drzewka o cienkich pniach i rozłożystych koronach. Ich gałęzie spletały się ze sobą niczym kochankowie z opowieści moich nowych znajomych. Zarumieniłam się na to porównanie. Dzięki gałązkom obsypanym wąskimi, ciemnozielonymi liśćmi pomieszczenie wydawało się przytulne. Jesienne słońce zostało przytłumione przez bujną roślinność, lecz mimo to na biurkach tańczyły plamy promieni słonecznych.

Przez ułamek sekundy poczułam się jak w domu.

Do czasu, gdy coś nieoczekiwanie wbiło się w drewniany blat, na którym trzymałam złączone dłonie. Pięć ostrych szponów przesunęło się w moją stronę, pozostawiając po sobie głębokie bruzdy. Zmarszczyłam brwi. Jak miałam pisać na tak krzywej powierzchni? Podniosłam wzrok z wyraźną irytacją.

Przedemną stał Drogomir. Chłopak dyszał żądzą mordy. Jego oczy połyskiwały złotawo.

— Zapłacisz mi za to — syknął. Nie wysilił się, by rozpocząć od powitania. — Wiesz, co rośnie za tamtym oknem? Berberys! Przez czterdzieści minut wyciągałem ciernie z tyłka!

Dalia wybuchła niekontrolowanym śmiechem.

— I to niby moja wina? — spytałam jaszczurzego pomiotu. Zaczynałam przywykać do tej nazwy. — Gdybyś był zwinniejszy, w ogóle nie spadłbyś w krzaki.

Widocznie nie spodziewał się takiej odpowiedzi, bo aż się zapowietrzył.

— Ty...! — Oskarżycielsko wyciągnął ku mnie palec. — Sugerujesz, że brak mi zwinności?!

— Właściwe słowo to: imputujesz. Tak, posądzam cię o to, że brak ci zwinności.

Drogomir zamachnął się w moją stronę ręką z jaszczurzymi pazurami, ale odchyliłam się na krześle, więc chłopak zacisnął dłoń na powietrzu. Zamrugął, wyraźnie zaskoczony, że nie udało mu się pochwycić mnie za gardło.

W tym momencie wybrzmiał dzwonek.

— Dziś masz szczęście — wycedził. — Ale dzwonek nie będzie ratować cię za każdym razem. Spodziewaj się mnie wtedy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewać.

— Trochę bez sensu to powiedziałeś, nie uważasz?

Drogomir zacisnął szczękę tak mocno, że jego zęby aż zazgrzytały.

— Na swoje miejsce — upomniała go nauczycielka, która właśnie wkroczyła do klasy.

Domyśliłam się, że to właśnie Żmija, o której opowiadała Dalia.

Chłopak rzucił mi wrogie spojrzenie i zajął wolną ławkę. Całą lekcję czułam na plecach jego wzrok.

Kilka godzin później, już po ostatnich zajęciach, odnalazła mnie pani Jasna. Uśmiechała się tak ciepło, jakby naprawdę cieszyła się, że mnie widzi.

Dobre sobie.

— Pani dyrektor zaprasza cię na spotkanie — oznajmiła słodkim głosem. — Staw się w jej gabinecie jutro przed wschodem słońca. Tylko pamiętaj... nie spóźnij się. Pani Walewska nie toleruje spóźnień.

Poczułam dreszcz w dole kręgosłupa. Magia zastępczyni dyrektorki omiotła mnie miętko niczym puszysty koc, a jednocześnie coś w zachowaniu kobiety sprawiało, że moja intuicja była na alarm.

Skinęłam głową na znak, że przyjęłam zaproszenie. Gardło miałam tak ściśnięte, że nie byłabym w stanie wydusić z siebie słowa.

Noc minęła niespokojnie. Wsluchiwałam się w myśli uczniów śpiących w sąsiednich pokojach, ale nie natrafiłam na żadną przydatną informację. W końcu, zmęczona intensywnym wykorzystywaniem telepatii i nerwami towarzyszącymi mojemu przybyciu do Akademii, zasnęłam.

Otworzyłam zmęczone oczy, gdy na zewnątrz było jeszcze ciemno. Niechętnie opuściłam ciepłe łóżko i przygotowałam się na mój drugi dzień w szkole.

W drodze do pani Walewskiej powłóczyłam nogami niczym skazaniec idący na szafot. W końcu stanęłam przed drzwiami gabinetu. Zapukałam. Dostałam zgodę na wejście. Ledwie przekroczyłam próg, a kobieta, która musiała być dyrektorką, od razu poleciła mi stanąć w skomplikowanym kręgu narysowanym kredą.

— Wiesz, po co cię tu wezwałam, duszko? — spytała.

Pokręciłam głową.

Przyjrzałam się jej. Była urodziwą kobietą w średnim wieku, nieco pulchniejszą od Żmijewskiej i obdarzoną delikatną urodą, jaką można czasem podziwiać na starych obrazach olejnych. Kręcone rude włosy sięgały jej do ramion, a duże, jasne oczy otoczone rzę-

sami pomalowanymi niebieskim tuszem i małe usta upodabniały jej twarz do twarzy lalki. Jedynie kolorowa garsonka i wiszący na szyi sznur pereł z małą, ametystową łązką pośrodku nadawały jej nieco bardziej formalnego wyglądu.

Dyskretnie wzięłam głębszy oddech. Dyrektorka pachniała szyprowymi perfumami. Znałam ten zapach, ów aromatyczny konglomerat jaśminu, hiacyntów, drzewa sandałowego i piżma.

Tylko skąd?

Wciągnęłam zapach głębiej i wtedy coś w mojej głowie przeskoczyło.

No przecież... to *Pani Walewska*! Zaśmiałam się w duchu. To ulubione perfumy naszej ludzkiej sąsiadki.

Krąg, w którym stałam, podpowiadał mi, że dyrektorka jest wiedźmą. Lubiłam to słowo. Oznaczało „tę, która wie”. A kto jak kto, ale pryncypałka Akademii Ciemnogradzkiej powinna *wiedzieć* różne rzeczy.

— Panno Dracca. — Głos Walewskiej był przyjemny, cichy, przemawiał do najgłębszych pokładów duszy. Czy też dwóch dusz, jak w moim przypadku. — Wezwałam cię tu dziś w związku z twym niezwykłym talentem, jakim jest telepatia. Rozumiem, że czytanie w myślach jest bardzo przydatną umiejętnością, lecz niestety mogłaby ona zaburzać twoje wyniki w nauce, skoro mogłabyś wyciągnąć prawidłową odpowiedź z umysłu nauczyciela lub innego ucznia. Aby wyrównać szanse, będę musiała zablokować twój dar na czas nauki w Akademii Ciemnogradzkiej. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? — spytała słodko.

Na moje nieszczęście było to pytanie całkowicie retorycznie, ponieważ linie kręgu, w którym się znajdowałam, już lśniły elektryzującym fioletem.

Miałam wiele przeciwko ograbieniu mnie z telepatii, ale wiedziałam, że wszelki opór był daremny, dlatego w milczeniu skinęłam

głową, choć wszystko wewnątrz mnie krzychało, że to nie w porządku i że tylko niepotrzebnie wydłuży moje poszukiwania zabójcy ojca. Zaciśnęłam dłonie tak mocno, że to aż bolało.

Nagle gwałtownie wzięłam oddech.

Spuściłam wzrok.

Magia dyrektorki połaskotała mnie w łydki i zaczęła wspinać się coraz wyżej.

— Cieszę się, że udało nam się porozumieć w tej sprawie — rzuciła Walewska głosem wibrującym od magii.

Wolne żarty! Jakbym w ogóle miała coś do gadania.

Sprytny, lawendowy czar piął się wyżej i wyżej, oplątał się wokół mej szyi, pokrył policzki, a wreszcie wszedł do głowy przez nos, zupełnie jak jej perfumy. Syknęłam. Mój umysł rozpierał dyskomfort. Wrażenie, jakby coś zaciskało się wokół mojego mózgu, nasiliło się.

Wszystko wokół rozbłysło bielą.

Kiedy myślałam, że dłużej już tego nie zniosę, zakłęcie niespodziewanie opadło i rozwiało się jak dym z dogasającego ogniska w wietrzny wieczór.

— Gotowe — zawołała Walewska i klasnęła w ręce niczym mała dziewczynka, której udało się sztuczka. Cała zresztą przypominała teraz cyrkowego kuglarza lub maga wyciągającego królika z kapelusza. — Na twoim miejscu byłabym dziś ostrożna. Moje czary mogą tymczasowo osłabić, a przecież jesteśmy w Akademii Ciemnogradzkiej, której najważniejszy punkt regulaminu brzmi: przeżyj. — Zachichotała. — Możesz już iść, panno Dracca. Uważaj na siebie! To może być dla ciebie długi dzień!

Przełknęłam ślinę. Wycodziłam tylko:

— Do widzenia.

I na miękkich nogach, omotana lawendowym czarem, opuściłam gabinet.



Rozdział 4

Myszkowanie

Szybko zrozumiałam, że znajomość z Dalią do pewnego stopnia zapewniała mi bezpieczeństwo. Najwyraźniej moja współlokatorka, która już od kilku lat uczęszczała do Akademii Ciemnogrodzkiej, cieszyła się w jej murach niemałą estymą. Obecnie część tego blasku spływała i na mnie. Nie dziwiłam się nikomu, kto przepadał za piękną i uśmiechniętą Dalią, dla której szklanka zawsze była do połowy pełna. Dziwiłam się za to samej dziewczynie, ponieważ moje częściowe wycofanie i nietypowe przyzwyczajenia nie stanowiły dla niej najmniejszego problemu. Musiałam przyznać sama przed sobą, że byłam jej za to wdzięczna.

Dalia stanowiła jasny kontrast dla ciemnych stron szkoły.

Jedną z nich była konieczność nocowania w murach, pośród których grasowały potwory.

Leżałam na łóżku z szeroko otwartymi oczami i spojrzeniem wbitym w sufit. Bałam się zasnąć. W mojej głowie przetaczały się obrazy, w których ktoś zabijał mnie we śnie. Serce waliło mi jak szalone, miałam problem, by wziąć głęboki wdech, jakby na mojej piersi usiadł ciężki dusioł. Tkwiłam w absolutnym bezruchu, obawiając się, że każdy najcichszy szelest może zwrócić na mnie uwagę przeciwnika.

Pozbawiona daru telepatii czułam się bezradna i obnażona. Magia dyrektorki założyła ograniczenia na mój umysł i odebrała resztki pewności siebie, jakie mi pozostały.

Drżałam.

Za ścianą mógł znajdować się morderca mego ojca. Jego splamione krwią ręce w każdej chwili mogły dosięgnąć i mojego karku. Kiedy tu przyjeżdżałam, żyły wypełniało mi pragnienie zemsty. Byłam nim pijana, nie zwracałam więc uwagi na to, na jakie niebezpieczeństwo się wystawiam. Teraz wszystko uderzyło mnie z siłą lawiny śnieżnej. Moje ciało drętwiało, jak wtedy, gdy zbyt długo przebywa się na zimnym powietrzu w zbyt cienkim swetrze.

Z trudem przełknęłam ślinę przez zaciśnięte gardło. Była jeszcze jedna kwestia.

Strach przed tym, że morderca znajdzie mnie wcześniej niż ja jego – to jedno. Poza nim także inna rzecz nie dawała mi zasnąć. W każdym momencie mogłam otrzymać od dyrektorki lub Jasnej, jej zastępczyni – jedynych uprawnionych do tego osób – informację o śmierci matki, co w połączeniu z tęsknotą za nią rozbijało mnie od środka.

Straciłam dech.

Co zaskakujące, leżąc na sąsiednim łóżku Dalia wyczuła moje zdenerwowanie i bez słowa wstępu zaczęła opowiadać mi anegdoty na temat swojej dotychczasowej edukacji. Nie prosiłam jej o to, ale możliwość skoncentrowania się na słowach dziewczyny pozwoliła mi się odrobinę uspokoić. Spięte ciało powoli się rozluźniało, oddech odzyskiwał normalny rytm.

Wreszcie byłam spokojna na tyle, by w ciemnym pomieszczeniu, do którego wpadały nieliczne promienie księżyca, wyczuć woń drewna i starych murów, i rosnących za oknem pnączy, świeżo wypranej pościeli o przyjemnym aromacie mydlnicy lekarskiej oraz

kwiatowo-ziołowy zapach mojej współlokatorki. Wszystko łączyło się w spójną całość.

Uderzyła mnie myśl, że w innych okolicznościach mogłabym uznać Akademię za miejsce stworzone właśnie dla mnie.

— Na początku też czułam się przytłoczona tym wszystkim — mówiła Dalia niskim, melodyjnym głosem, który działał na mnie jak kołysanka, zupełnie jakby rzucała na mnie czar. — Patrzyłam na ceglane mury obrosnięte bluszczem oraz dzikim winem i nie wierzyłam, że oto jestem w słynnej Akademii Ciemnogrodzkiej. Dla mnie to miejsce było jak z bajki. Moi rodzice się tu poznali — wyjaśniła, nie patrząc na mnie; ja za to wpatrywałam się w jej idealny profil i jasne włosy, które zdawały się lśnić nawet w mroku nocy. — Niby znałam wszystko z ich opowieści, ale słuchać o tym miejscu, a być w nim, żyć w nim na co dzień... to było całkiem coś innego.

Urwała na moment. Wyglądała, jakby układała sobie wszystko w głowie. Podobnie jak ja chwilę wcześniej, leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w sufit. Ręce położyła na okrytym ciepłą kołdrą brzuchu. W dormitorium nie było bardzo zimno, nie drżałyśmy, a nasze oddechy nie zmieniały się w obłoczki, ale nocą nie panowało tutaj przesadne ciepło.

Szkoda. Uwielbiałam ciepło. Byłam jak jaszczurka pragnąca wygrzewać się w słońcu.

— Nie byłam taka odważna, jak ty przed pierwszym dzwonkiem. Wykorzystywałam urodę i swój dar, by wydać się pewną siebie i aby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że ktoś będzie czyhał na moje życie — wyznała.

Ujęła w palce kołdrę i zaczęła się nią bawić, ścisnąć ją, owijać materiał wokół dłoni. Jej ruchy były wręcz hipnotyzujące.

— Przez dłuższy czas nawet mi się to udawało, ale potem jedna Irlandka ubzdurzała sobie, że poderwałam jej chłopaka i na środku korytarza przybrała swoją prawdziwą formę. — Westchnęła

przeciągle. — Okazało się, że jest potężną fomorianką. Jej rude włosy przypominały macki, usta były przerażające, jak u rozkładającego się trupa, a oczy jarzyły się niesamowitym, złowieszczym blaskiem błędnych ogników. — Głos Dalii nabrał nowego, ciemniejszego tonu.

Moja współlokatorka musiała być świetna w opowiadaniu strasznych historii, bo aż poczułam ciarki na wciśniętych w materac plecach. Nakryłam się własną kołdrą aż po brodę.

— Zawyla groźnie i ruszyła na mnie. W pierwszej chwili wydała mi się niepokonana. Miałam kompletną pustkę w głowie. Na szczęście odruch zadziałał bez udziału woli i ja również przyjąłam prawdziwą postać. — Słyszałam mroczny śmiech w jej głosie. — Fomorianka nie miała pojęcia, że potrafię latać. Nie było łatwo, ale udało mi się ją pokonać. Podobnie jak ty Drogomira, tak i ja wyrzuciłam ją przez okno. Jednak w przeciwieństwie do ciebie upewniłam się, że nie upadnie sama. Zrzuciłam na nią kamiennego gargulca.

Biła od niej satysfakcja. Musiała być z siebie naprawdę dumna. Uznałam, że mimo wszystko powinnam chociaż trochę jej się bać. Współlokatorka czy nie, lepiej z nią nie zadzierać.

— Jednak tamten pojedynek sprawił, że cała szkoła poznała moją prawdziwą naturę — westchnęła cicho Dalia, a teraz w jej głosie wybrzmiewała rezygnacja. — Jestem wiłą. Ku mojemu zdziwieniu to zjednało mi sympatię, szczególnie męskiej części uczniów, a także zapewniło mi niejakię bezpieczeństwo. Nikt nie widzi we mnie zagrożenia, za to większość chętnie zobaczyłaby mnie w swoim dormitorium, czy gdzie tam pojawiam się w ich chorych fantazjach — dodała z przekąsem.

Milczałam, nagle niepewna, po co mówiła mi to wszystko. Czy oczekiwała wzajemności w zwierzeniach? Zaciśnęłam palce na pościeli i poruszyłam się niespokojnie na łóżku. Trzaskanie wysłuchanego stelaża zdradziło moje zdenerwowanie.

— Nie musisz mówić, kim jesteś — rzekła Dalia. Jej palce znie-
ruchomiały. — Będziesz chciała podzielić się swoją tajemnicą, to
spoko, ale jeśli nie, to też rozumiem. Nie ma presji.

Pierwszy raz, odkąd zaczęła opowieść, przekreśliła głowę i po-
patrzyła prosto na mnie. Słabe światło księżycy oświetliło jej in-
tensywnie zielone oczy, zagrało na zabłąkanym kosmyku, nadając
mu srebrnawego odcienia.

— Wiedz jednak, że Dalia Paprocka potrafi dochować sekretu.
Intuicja podpowiadała mi, że mówiła szczerze.

— Dziękuję — szepnęłam, bo nie wiedziałam, jak inaczej mogła-
bym zareagować.

— Nie dziękuj, nie ma za co. Chodźmy już spać. Sen jest ważny
dla urody — dodała.

Uśmiechnęłam się.

— Dobranoc — powiedziałam, dotykając palcami wizerunku na
dekolcie.

*Brakuje mi ciebie, Lumi. Mam nadzieję, że już wkrótce będziesz mógł
wyjść i polatać.*

Czekam cierpliwie, odparł.

Niedługo później nareszcie zasnęłam.

Choć przez nadmiar wrażeń, z którymi musiałam poradzić sobie
w ciągu dwóch pierwszych nocy w Akademii Ciemnogradzkiej, bu-
dziłam się zmęczona — zwłaszcza po ingerencji dyrektorki w moim
umyśle — to już trzeciego poranka, kiedy tylko poczułam na skórze
ciepłe promienie jesiennego słońca, obiecałam sobie, że więcej nie
poddam się emocjom.

Spędziłam cały dzień na nauce oraz wnikliwej obserwacji otacza-
jących mnie uczniów i nauczycieli, zastanawiając się jednocześnie,
czy za przywdzianymi przez nich maskami nie czai się morderca
mojego ojca. Na razie nie doszłam do żadnych konstruktywnych